

DNI, KTÓRYCH JUŻ NIE ZNAMY

Czy był w tym mieście kiedyś naprawdę szczęśliwy? Na pewno nie bywał nieszczęśliwy.

Wczesne dzieciństwo minęło bezboleśnie. Małe mieszkanie blisko rynku, kuchnia z matką stojącą przy piecu i dwa pokoje. Jeden pokój to sypialnia z szaroburym tapczanem i niedomykającą się szafą, drugi pokój to salon. Salon pamięta ze szczegółami. Na jednej ścianie jest ciemnobrązowa meblościanka z mnóstwem półek i szafek. Przy oknie stoi telewizor marki Unitra. Po przekątnej siedzi jego ojciec, w jednej ręce trzyma papierosa, w drugiej szklankę w srebrnym koszyczku, popija kawę z fusami i ogląda mecz. Ojciec się denerwuje, wstaje z fotela, kawa zachlapuje mu koszulę, Dariusz Szpakowski krzyczy, ojciec krzyczy, chłopiec siedzący na dywanie też chciałby krzyknąć, że przeszkadzają mu w zabawie resorakami, ale nie robi tego, boi się ojca. W końcu emocje opadają, Polska remisuje z Holandią 2:2. Koniec ujęcia.

W innej scenie jest sam. Matka robi zakupy, ojciec w robocie. Siedzi na dywanie i czyta po raz nie wiadomo już który komiks o Kaczorze Donaldzie. Kosztował szesnaście tysięcy złotych. Pamięta dokładnie. Kupił go z własnych oszczędności w kiosku przy ulicy Gliwickiej. Przy czytaniu komiksu powinien trzymać w ręce szklankę z zielonym napojem, to by pokazało pełnię jego dziecięcego szczęścia, ale zielony napój był kiedy indziej. Zobaczył go na wystawie sklepu spożywczego naprzeciwko kościoła pw. św. św. Piotra i Pawła. Namówił na zakup matkę. Trochę się opierała, nie miała dużo pieniędzy, ale chyba smak kiwi też ją zaciekał. W domu okazało się, że napój był przeterminowany. Nikomu to jednak nie przeszkadzało, smakował wybornie.

Najbardziej jednak utkwiała mu w pamięci witryna sklepu z zabawkami przy ulicy Krakowskiej. W tej scenie następuje najazd na duży, czarny samochód policyjny na baterie. Gdy się go włączy, podnoszą się przednie reflektory, na dachu wychodzą niebiesko-czerwone koguty, pojazd się obraca, a po chwili otwierają się drzwi i wychylają się policjanci w amerykańskich strojach z pistoletami w ręce (mieli tylko po jednej ręce). Kolejne obrazy ukazują małego chłopca o różnych porach dnia i roku, który stoi przed witryną i wskazuje ten samochód. Matka kiwa przecząco głową. Aż któregoś dnia chłopiec dostaje wymarzony prezent. Czego mógł chcieć więcej? Nawet przepowiednie, że w dwutysięcznym roku skończy się świat, wydawały się bardzo odległe i nie psuły humoru.

Czas dojrzewania był mniej kolorowy. Z tego okresu ma niewiele zapisanych ujęć. Pewnie są utrwalone gdzieś głębiej, ale nie chce po nie sięgać. Świat przyspieszył. Zostały przebłyski. Pierwszy pocałunek, pierwsze piwo na Gwarkach, pierwszy telefon (po wujku), pierwszy komputer z okropnym systemem Windows Millennium, pierwsze wagary i pierwsze rozczarowania. Coraz więcej rozczarowań. Zrobiło się za ciasno. Trudno było nadażyć za innymi, bogatszymi, zabawniejszymi, zdolniejszymi. Narastał w nim coraz większy gniew. Tak duży, że po zdaniu matury pierwszy raz poważnie sprzeciwił się ojcu. Wprawdzie dostał się na studia, ale gdy okazało się, że nie stać go na to, by mieszkać poza domem rodzinnym, postanowił wyjechać. W marcu 2005 roku wylądował w Londynie. Zaczął od prac sezonowych, później został sprzedawcą w sklepie, a ostatecznie kierownikiem całej sieci lokalnych dyskontów. Zdażył się ożenić i rozwieść. Teraz miał ładne mieszkanie, psa, od czasu do czasu jakąś dziewczynę i ogólnie spokojne życie.

Takie myśli i obrazy przelatywały mu, kiedy siedział w kuchni przy stole w starym mieszkaniu niedaleko tarnogórskiego rynku. Od czasu przeprowadzki przyleciał do Polski tylko cztery razy. Na pierwsze po wyjeździe Boże Narodzenie, rok później na pogrzeb ojca i jeszcze

raz, żeby dopełnić formalności przed ślubem. I teraz, do matki, na jej pogrzeb. Tak, miał wyrzuty sumienia, że nie był przy niej. Ale usprawiedliwiał się tym, że niedaleko mieszkała jej przyjaciółka, dwie samotne kobiety mogły się spotykać i wspierać. Zmarła pół roku przed matką.

Matka była łagodną kobietą, nawet zbyt łagodną. Denerwowało go to, że we wszystkim ulegała ojcu. Stanowcza była jedynie w kwestiach finansowych, pilnowała domowego budżetu i rzadko zgadzała się na dziecięce zachcianki. Pamięta tylko jedną poważną kłótnię. Chciał w siódmej czy ósmej klasie podstawówki pojechać na dyskotekę do Las Vegas (a może była to już wtedy Egiptka?). Matka stanowczo odmówiła. Nie odzywał się wtedy do niej przez trzy dni.

Przez te wszystkie lata starał się do niej dzwonić, przysyłał zdjęcia i pieniądze. Do Londynu przyleciała raz, na jego ślub. Pamięta, że miasto jej się nie podobało, było zbyt głośnie i brudne. Odpowiedział, że jemu się bardzo podoba, za to nie umiałby żyć w mieście czystym, ale do bólu nudnym. Na te słowa lekko się uśmiechnęła i powiedziała, że jak była młoda, też chciała wyjechać do dużego miasta, ale teraz nie wyobraża sobie, że mogłaby żyć poza Tarnowskimi Górami. On też się uśmiechnął i pomyślał o starych drzewach. To mogłoby być jakiegokolwiek miasto, byle spędzić w nim większość życia.

Dzwoni telefon. Przypomnienie o spotkaniu z notariuszem. Musiał uporządkować wszystkie sprawy. Wszystko zakończyć w tym miejscu. Nic go już tutaj nie trzymało. Mieszkanie sprzeda przez pośrednika, wcześniej ogarnie je firma opróżniająca stare domy i tyle. Za trzy dni ostatni raz postawi stopę na lotnisku w Pyrzowicach.

Do spotkania z notariuszem zostały ponad trzy godziny. Mężczyzna skubie dziurę w ceracie. Powinien przejrzeć mieszkanie. Zabrać najważniejsze dokumenty. Jakies pamiątki? Na razie nie ma na to siły. Może to zrobić jutro. Nagle coś sobie przypomina. Zrzuca ze stołu ceratę. Choć kuchnia była dość nowa, kupiona za przesłane pieniądze, to stół był stary, pamiętał jego dzieciństwo. Nogi z grubą warstwą białej farby i blat z cienkiej laminowanej płyty. Teraz gładził ten blat. Wśród licznych nacięć i odprysków znalazł to, czego szukał. Niezbyt głębokie, cienkie, podłużne wgłębienie w rogu znajdującym się przy oknie.

Miał może osiem lat. Rodzice poszli na drogę krzyżową ulicami miasta. Padało, więc jego nie zmuszali. Chciał w tym czasie wystrugać sobie łódkę. Kawałek kory znalazł w czasie szkolnej wycieczki. Z szuflady wyciągnął mały, ostry nóż. Usiadł przy stole. Gdy się lekko wychylił, mógł przez okno zobaczyć, co dzieje się na ulicy. Obiecał pomachać rodzicom, gdy będą przechodzili. Struganie szło mu dobrze, miał już gotowy spód łodzi, teraz tylko wystarczyło wydrążyć środek. Gdy wbijał ostrze, usłyszał nadchodzący, rozmodlony tłum. W tej chwili ostrze zsunęło się, ucięło mu opuszek palca dłoni, którą trzymał łódkę, i zarysowało blat. Chłopiec zaczął krzyczeć, przez okno zobaczył, że księża i ludzie wyszli już z podcieni, więc wyskoczył z mieszkania, zbiegł po schodach i wypadł na drogę. Zaczął wołać mamę. Białą koszulkę miał całą umazaną krwią, nawet nie wiedział, kiedy się w nią wytarł. Wyglądał na opętanego. Księża zatrzymali się, tłum też. Spomiędzy ludzi wybiegła przerażona matka, chwyciła jego rękę, spojrzała na palec i bez słowa zaciągnęła z powrotem do mieszkania. Tłum ruszył dalej. Ojciec się nie wychylił. Wrócił dopiero po całym nabożeństwie, chwilę porozmawiał z matką, po czym ściągnął pas i wszedł do pokoju. Chłopiec znowu był jak opętany.

Teraz uśmiechnął się na tamto wspomnienie. Położył z powrotem ceratę na stół, wziął telefon, portfel i wyszedł z mieszkania. Miał jeszcze wystarczająco czasu, żeby coś zjeść na mieście. Poszedł na Rynek. Nie orientował się, gdzie warto usiąść. Nie chciało mu się też sprawdzać w telefonie. W dawnych czasach chodził do Conieco. Teraz jednak była tam inna restauracja. Rozejrzał się i wybrał lokal, którego stoliki były ustawione na zewnątrz. Miał niezły widok na otoczenie. Chciał się trochę poprzyglądać i utwierdzić w przekonaniu, jak bardzo to miasto już nie jest jego. Niby wiele się nie zmieniło. Wszystko jak stało, tak mniej

więcej stoi. Jednak miał wrażenie, że obraz, który widzi, już nie jest prawdziwy. Jakby go zmieniono w programie graficznym. Płyta rynku wymieniona, kamienice odnowione, „titanic” pokryty lekką patyną, żeby już tak nie raził w oczy, jakieś ławeczki, drzewka, kwietniki. Nie miał o co zahaczyć wspomnień. Chyba tylko poprzez odnajdywanie braków. Roztrzaskał sobie nos, zahaczając nogą o płyty na rynku, których już nie ma. Jadł z kolegami frytki z solą i papryką w restauracji, której już nie ma. Po maturze pił piwo pod kopułą, której już nie ma.

Zamówił grillowanego kurczaka z kartoflami i gotowanymi warzywami. Gdy czekał na danie, popijał bezalkoholowe piwo i przyglądał się ludziom. Czy kogoś z nich znał? Czy ta ładna blondynka, przy której idzie dwoje dzieci, to może być jego koleżanka z klasy? Czy nie pobił się kiedyś z tym facetem, który teraz obrywa od żony za to, że miał po nią przyjechać godzinę temu? Mógł ich znać wszystkich, ale czuł, że nie zna nikogo. Zaczął sobie wyobrażać, że poznaje go dawna miłość z liceum. Dosiada się, wspominają stare czasy. Na koniec mówi mu, że tak naprawdę kochała tylko jego, ale bała się swojego chłopaka. Niestety, skończył jeść i nikt się nie pojawił. Spojrzał na zegarek i zamówił jeszcze kawę. Dodatkowe piętnaście minut. Może szczęśliwy traf potrzebuje więcej czasu. Jednak i to nie wystarczyło. Nie mógł dłużej czekać. Za trzydzieści minut miał spotkanie z notariuszem. Zapłacił i wyszedł. Postanowił podjechać autobusem. Na przystanku nie było dużo osób. Sprawdził rozkład i stanął w cieniu.

– Marek? – usłyszał za sobą.

Nie zareagował. Dopiero gdy dodała jego nazwisko, odwrócił się.

Zobaczył niezbyt wysoką, ale zgrabną około czterdziestoletnią kobietę o miedzianych włosach. Uśmiechała się.

– Nie pamiętasz mnie? Marta. Chodziliśmy razem do liceum.

Teraz sobie przypomniał. Znowu pojawiły się obrazy. Sala lekcyjna na przerwie. Gruba, ruda Marta wyśmiewa jego nieoryginalne adidasy, donosi na niego wychowawczyni, flirtuje z nim dla żartu pod innym imieniem na Gadu-Gadu.

– Marek?

– Tak, pamiętam. Przepraszam, nie poznałem.

– Trochę się zmieniliśmy. – Znowu uśmiechnęła się promiennie. – Nie mieszkasz w Tarnowskich Górach, prawda?

– Nie, przyjechałem tylko na kilka dni.

Nie wiedział, jak to się stało, ale zgodził się na propozycję wyjścia na kawę. Na kawę z kobietą, którą kiedyś szczerze nienawidził. Chyba naprawdę potrzebował kogoś, kto pomoże mu przetrwać te kilka dni. Kogoś, kto powie mu „żegnaj”, gdy będzie wsiadał do taksówki na lotnisko.

Spotkanie z notariuszem przebiegło sprawnie. Musiał jeszcze przejrzeć jutro rzeczy w mieszkaniu, a resztę mógł załatwić zdalnie z Londynu. Z Martą umówił się na rynku pod masztami. Z mieszkania matki miał pięć minut. Założył dżinsowe spodnie i czarną koszulkę polo. Zerknął, jak wygląda sypialnia. Trochę się przeraził. Nic się nie zmieniło od dwudziestu lat.

Marta zaproponowała małą, klimatyczną kawiarnię. Bez trudu znaleźli wolny stolik. Choć był wakacyjny wieczór, wokoło ludzi było niewiele. Miał wrażenie, że w porównaniu z Londynem Tarnowskie Góry to wioska na końcu świata.

– Zawsze tu tak pusto? – zapytał.

– Najczęściej jest dość spokojnie. Lubię to.

– Mnie to trochę przeraża. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

Zamówili kawy i bezowe desery.

Wiedział, jaki będzie dalszy scenariusz tej rozmowy. Był na to gotowy. Opowiedział o swojej pracy, o swoim mieszkaniu. Teraz inicjatywna należała do niego.

- A czym ty się zajmujesz? – zapytał.
- Prowadzę kwiaciarnię.
- Powiedziała tylko tyle. Czekwała z lekkim uśmiechem na jego reakcję. Tak, był zdziwiony.
- To ciekawe.
- Prawda? – Teraz roześmiała się głośno. – Najlepsza uczennica w klasie, córka bogatych rodziców prowadzi małą kwiaciarnię w małym mieście. Kto by się spodziewał?
- Nie wiedział, czy przytaknięcie nie będzie niestosowne. Zauważyła jego zmieszanie.
- Pracowałam kiedyś w banku, szybka kariera, zagraniczne delegacje, niezła kasa. Trzy lata temu rzuciłam to w cholerę i otworzyłam kwiaciarnię. Mam pracownicę. Rano jadę po kwiaty, później poprzierzucam trochę papierów i od południa mam wolne.
- Mąż i dzieci pewnie zadowoleni? – zapytał i poczuł satysfakcję, jak elegancko poruszył ten temat.
- Nie posiadam. Najpierw pochłonęła mnie kariera, a teraz już jestem chyba za stara. Z wolnych facetów zostali albo rozwodnicy ze zbyt dużym bagażem doświadczeń albo świry. Albo połączenie tych dwóch. A jak to u ciebie wygląda?
- Jestem rozwodnikiem.
- Marta spojrzała na niego poważnie. Po czym wybuchnęła śmiechem.
- I świrem?
- Sam nie umiał powstrzymać śmiechu.
- Oj, widzę, że od czasów liceum tak bardzo się nie zmieniłaś.
- Wydała się lekko zaskoczona.
- Masz do mnie żal za tamte żarty?
- Wiesz, nie było to miłe.
- Przecież się z tobą droczyłam. Podobałeś mi się.

Nie zaprosiła go do mieszkania ani on nie zaprosił jej. Umówili się jednak na następny dzień. Spał w salonie na kanapie. Sypialnia rodziców nadal była dla niego miejscem zakazanym. Musiał jednak tam wejść i przejrzeć to, co zostawiła matka.

Szafa była duża, z lichej płyty udającej dąb. Drzwi jeszcze bardziej obwisły i się nie domykały. Otworzył je. W środku wisiało kilka sukienek, żakiety, bluzki i stary garnitur ojca. W dolnej szufladzie była bielizna. Czuł się nieswojo, ale przesunął ją, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś pod spodem. Znalazł poźółkłe pudełko, niezbyt duże, trochę większe od zeszytu. Były w nim zdjęcia i pocztówki. Czarno-białe, w sepii, kilka kolorowych. Nigdy wcześniej ich nie oglądał. Dwa albumy ze zdjęciami stały na półce w salonie. Te pamiętał. Pierwszy album rozpoczynały fotografie małego bobasa po kąpielu, na jednych był z rodzicami, na innych sam. W drugim albumie na ostatnich stronach widniał pryszczaty młodzieniec. Archiwum jego życia. Później nadeszła era cyfrowa i wszystko przepadło w otchłaniach zer i jedynek.

Usiadł na łóżku małżeńskim rodziców i położył pudełko na kolanach. Wiedział już, że tutaj siebie nie znajdzie. Inne życie, życie przed życiem. Złożone w tekturowej trumnie pod całunem bielizny.

Na wierzchu były stare pocztówki z Tarnowskich Gór. Synagoga, ratusz, płyta rynku z kamienicami i zaparkowanymi wokół syrenami, trabantami i warszawą, dzwonnica gwarków. Odłożył je na bok. Dalej były zdjęcia ślubne rodziców, fotografie z jakichś imprez, spacerów, wycieczek. Matka na nich jest młoda, radosna, pełna energii, tak jak miasto w tle. Na ostatnim zdjęciu tańczy z jakimś innym mężczyzną. Ma podniesioną rękę w stronę aparatu, tak jakby chciała pokazać, żeby nie robić jej zdjęcia. Fotograf jednak był szybszy. Jej syn zastanawia się teraz, kto to może być. Po chwili jednak porzuca te myśli. Nic to nie zmienia. Facet ze zdjęcia mógłby być nawet jego biologicznym ojcem. I co z tego? Nic.

Z salonem poszło sprawnie. Matka przez dwadzieścia lat wiele nie zmieniła. Na pierwszy rzut oka był jedynie inny telewizor. Pozostałe zmiany to tylko szczegóły. Przejrzał wszystkie

szafki, ale wyłącznie dla zasady. Dokumenty znalazł tam, gdzie się ich spodziewał. Wrzucił je do walizki wraz z pudełkiem z sypialni i dwoma albumami. Jeszcze nie wie, co z nimi robi, ale nie chce, żeby obcy ludzie mieli z niego ubaw.

Gdy już wychodził, żeby spotkać się z dawną koleżanką, nagle się zatrzymał. Wrócił do salonu i ściągnął z meblościanki kilkunastocentymetrową figurkę gwarka na tle zabytkowej kopalni. Włożył ją do torby na ramię i wyszedł.

Umówili się pod dzwonnica gwarków. Był trochę wcześniej. Naraz zatrzymała się przy nim czerwona toyota. Marta otworzyła okno i pomachała do niego.

– Cześć, wsiadaj. Zapraszam cię na obiad.

– Myślałem, że się gdzieś przejdziemy.

Szybko wsiadł do samochodu, za nimi już niecierpliwili się inni kierowcy.

– I tak tutaj nie uda mi się zaparkować – stwierdziła Marta. – Pojedziemy coś zjeść, a później się przejdziemy.

Zjedli dobry obiad w restauracji na peryferiach miasta. W czasie posiłku wspominali czasy licealne. Dobrze im się rozmawiało. Gdy wracali ulicą Gliwicką, przypomniał sobie coś.

– Czyli teraz spacer? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Taki miałam plan.

– Mam propozycję. Skręć w najbliższą uliczkę w prawo.

Zrobiła tak, jak poprosił.

– Zaparkuj gdzieś tutaj. Chciałbym się tędy przejść.

– Jak pan sobie życzy.

Marta zaparkowała samochód przed sklepem z krzewami. Z bagażnika wyciągnęła mały plecak i przerzuciła go przez ramię.

Szli jakiś czas w milczeniu. Był jej za to wdzięczny. W końcu sam się odezwał.

– W dzieciństwie jeździliśmy tędy z kolegami na rowerach. Tam na końcu były tory i stare wagony towarowe, na które się wspinaliśmy.

Podeszli w tamto miejsce. Nie było już torów, nie było wagonów, za to naokoło nowe domy i ludzie spacerujący z psami.

– Pozmieniało się – pozwolił sobie na taki banał, bo nie wiedział, co powiedzieć.

– Tak, okolica mocno się rozbudowuje – stwierdziła Marta. – Jeśli masz jeszcze siły, chodźmy na hałdę popłuczkową. Zrobimy sobie piknik.

– Piknik? – Spojrzał na nią lekko zdziwiony.

– Jestem przygotowana. – Znowu promiennie się uśmiechnęła i wskazała na plecak.

Wdrapali się na hałdę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tyle przeszedł jednego dnia.

– Chcesz mnie wykończyć. Przez ciebie nie wstanę jutro na samolot.

– Nie przesadzaj. Chodź w stronę ławeczek.

Na hałdzie nie było ludzi, pomijając dwóch rowerzystów, którzy właśnie zjeżdżali. Wybrali ławę najbliższej krawędzi. Zanim usiadł, rozejrzał się.

– Ładny widok – przyznał. Nie był tu wcześniej.

– Mamy szczęście, że nie ma tu teraz wielu ludzi – powiedziała, jakby ludzie mogli zasłonić widok, po czym wyciągnęła z plecaka paczkę paprykowych chipsów, brązową butelkę i dwa plastikowe kieliszki.

– Naprawdę się przygotowałam – stwierdził z uznaniem.

– Chyba pamiętasz, że zawsze byłam dobrze przygotowana – powiedziała radośnie i spojrzała na niego. – Otwórz, proszę, butelkę.

Wieczór był ciepły. Szara luna zaczęła przykrywać pola wokół hałdy. W oddali majaczyły domy i wieże kościołów. Patrzyli i milczeli przez dłuższą chwilę. Marta w końcu spojrzała na niego i zapytała:

– Nie lubisz tego miasta, prawda?

Zastanowił się.

– To nie tak. Po prostu to już nie jest moje miasto. Mojego miasta już nie ma.

– Aż tak się zmieniło?

– Przejeżdżałem ostatnio obok Egipteki. Pamiętasz tę dyskotekę?

– Jasne.

– To miasto jest dla mnie właśnie taką Egipteką. Coś zostało, ale tak naprawdę nie ma to już znaczenia.

– Dziwny jesteś.

– Znowu chcesz mnie obrażać?

Oboje się roześmiali.

– Wiem, że ty lubisz swoje miasto. Mam coś dla ciebie.

Wyciągnął z torby figurkę gwarka i podał jej. Chwyliła niepewnie. Zauważył, że ciężar figurki ją zaskoczył. Przyjrzała się.

– Piękna. Malowane szkło. Gdzie ją kupiłeś?

– Nie kupiłem, była w mieszkaniu. Nie wiem, skąd matka ją miała.

– Dziękuję. Będzie przypominała mi ciebie. I dziadka.

– Dziadka?

– Był związany z kopalnią. W latach sześćdziesiątych ją odbudowywał.

– Nie wiedziałem.

– Jak wielu rzeczy. I się już nie dowiesz. Jutro wyjeżdżasz.

Zastanawiał się, czy go prowokuje. Chce, żeby został? Decyzja już zapadła przed przyjazdem.

– Odprowadzisz mnie jutro? – zapytał trochę nieśmiało. – Muszę o jedenastej wyjechać na lotnisko.

– I mam machać chusteczką, jak będziesz wsiadał do taksówki? Chyba się za dużo filmów naoglądałeś. Rano muszę być w pracy. To chyba nasze ostatnie spotkanie. I musimy już wracać.

Wrócili do samochodu, już wiele po drodze ze sobą nie rozmawiając. Odwiozła go do mieszkania. Obiecali, że się do siebie jeszcze odezwą.

Rano spakował się, pozamykał wszystko i wyszedł. Najpierw odwiedził pośrednika sprzedaży nieruchomości. Zostawił mu klucze z mieszkania i udał się w stronę postoju taksówek. Jego walizka terkotała po bruku, tak samo jak blisko dwadzieścia lat temu. Ostatni raz był na tarnogórskim rynku. Odwrócił się, żeby zerknąć, czy zegar na wieży kościoła ewangelickiego chodzi. Zrobił następny krok i... zahaczył butem o odstającą kostkę. Przewracając się, uderzył głową o kant bariery otaczającej restauracyjny ogródek. Stracił przytomność.

Obudził się w szpitalu. Zabandażowana głowa okropnie bolała. Rozejrzał się. Na łóżku obok spał jakiś mężczyzna, po drugiej stronie łóżko było wolne. Zauważył swoją walizkę. Na szafce leżała jego komórka. Sięgnął po nią. Była rozładowana. Co się stało? Pomyślał o Marcie. Nie wiedział, czy spotkał ją naprawdę, czy były to tylko majaki potrzaskanej głowy. Był jednak pewien, co by teraz powiedziała:

– To miasto tak łatwo cię nie puści. Masz teraz swój nowy roztrzaskany nos.

I zaśmiałyby się radośnie.